

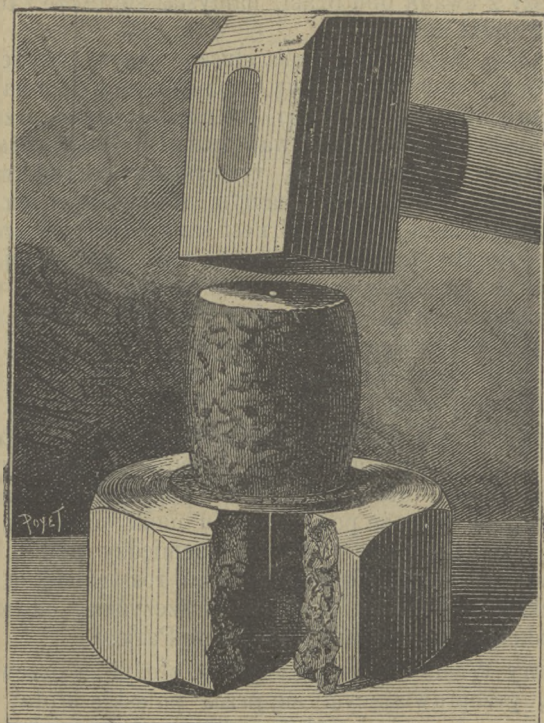


TYGODNIK ILLUSTROWANY DLA DZIECI.

PRENUMERATA WYNOŚI:

W WARSZAWIE rs. 4, na prowincyi w kraju i zagranicą rs. 5 — stosownie do tój ceny półroczna i kwartalna.

Biurow Redakcyi ulica Mazowiecka Nr. 10 nowy.



DOŚWIADCZENIE FIZYCZNE.

Każdy wie o tem, że dyament rysuje, a nawet rozcina szkło. Dlaczego? bo jest twardszy od szkła. Szkło znów

twadsze jest od marmuru i z łatwością na nim pozostawia rysy. Dobry stalowy nóż lub szczyryk rysuje na miedzi, bo stal od miedzi jest twadsza. Otóż na tój zasadzie można grosz miedziany przedziurawić igłą stalową. Rozumie się, że gdybyśmy próbowali wbijać tę igłę poprostu w grosz, jak ćwieczek w ścianę, przełamałaby się natychmiast, bo stal, jakkolwiek twarda, jest przytem nadzwyczaj krucha. Lecz trzeba wynaleść sposób zabezpieczenia igły od złamania.

Bierze się duży korek, tój samój długości, co igła, a wetknąwszy ją przez sam środek starannie, aby tam była całkiem nieruchoma, ustawia się, jak wskazuje rysunek, grosz miedziany na jakiejkolwiek podstawie drewnianej, mającej otwór pośrodku, na groszu zaś umieszcza się korek z igłą, końcem w dół zwróconą. A teraz zwyczajnym młotkiem uderzać można silnie w główkę igły, jeśli tylko dobrze i ciasno siedzi w korku, nie przełamie się wcale, lecz ostrze jój wejdzie w grosz miedziany i na wylot go przebije. Gdyby się to doświadczenie nie powiodło odrazu, zrażać się nie należy, lecz probować raz drugi i trzeci, igły nie są zbyt kosztownym przedmiotem, można więc parę dla nauki poświęcić. I korek zmienić nie zawadzi w razie niepowodzenia, na które wpłynąć może drobna jakaś przyczyna. Upewniamy jednak czytelników, że doświadczenie to, przy starannem i dokładnem wykonaniu, udaje się zawsze.

NA ZBÓJECKIM OSTROWIU

powieść

przez M. Zielińską.

(Dokończenie).

— Co to? — spytał nerwowo wstrząśnięty tym blaskiem Ernest.

— To, paniczu, w rudniach nad Sławeczną palą... tam, gdzie panicz Marko lubiał zaglądać, bo mówił, że i u nas takie trzeba urządzić, tylko mądrzejsze, bo tu w tych na strasznie prosty użytek jeno wyrabiać umieją żelazo... — półgłosem, jakby sama do siebie, objaśniła Basia.

— Lubiał?... — powtórzył Ernest z namysłem — héj, Hryczy, płyniemy w górę Sławeczną do rudni, do których brat mój lubiał zaglądać, jak mówi Basia!

I w kilka chwil później łódź wpłynęła na Sławeczną. W jednej z rudni nad Sławeczną położonych, młody, dzielny robotnik stał właśnie o świcie u roboty przed wielkim piecem, obłany podwójnym światłem, świtu i ogniska, zadumany, ale z żelaznym w dłoni drągami, opatrzone w czerpak na końcu, robotnik ponury a krzepki i z głową wzniesioną, jakby świat miał do walki wyzywać... gdy wtem dwie pary rąk zawisło mu jednocześnie u szyi... Jednym muskularnym ruchem ramienia już miał się oswobodzić od natrętów, zdziwiony napascią, gdy przypadkiem, zdążywszy spojrzeć im w oczy, opuścił ręce bezwładnie:

— Bracie, braciszku jedyny, złocisty, niegodziwy, jakieś ty miał serce to zrobić? — wołali na wysięgi Basia i Ernest, a Marcyan na prawdę nie wiedział, co im odpowiedzieć, bo w liście swym jedynym, jaki pisał w życiu do brata, wypowiedział już wszystko, co i dlaczego czynił; cóż było mówić teraz? Poleszuk o sercu i umyśle głębokim, jak poleskie przepaście i ponurym, jak tajemnica, zwykł z natury daleko więcej myśleć, niż mówić, a Marcyan był Poleszukiem z krwi i kości, a bardziej jeszcze z ducha.

— Dajcie wy mi pokój — rzekł wreszcie. — Już napisałem, że świat i życie mogą z czasem rozdzielić znowu serca najbardziej lgnące do siebie na razie, a wtedy moje serce cierpiałyby za wiele. bo miałyby czas przyrosnąć do waszych; wolę nie dać mu przyrosnąć, rozdzielając się zawczasu. Dajcie mi pokój.

— Świat i życie, i żadna ziemską potęgą, nawet gdyby krocie mil położyła między nami, nie zdoła już rozdzielić serc naszych! — brzmiała odpowiedź uroczysta, tak uroczysta i spokojna, że można było uwierzyć.

— Nie — dodała poleska dziewczyna — z bratniemi i siostrzanemi sercami nie tak łatwo się rozdzielić. Nie gardź miłością szczerą i wierną, najwyższym z darów twórczej potęgi, korzystaj zeń raczej z wdzięcznością, wracaj z nami do rodzinnej chaty i żyj w bratniem kole, ucząc młodszą brać słowem i przykładem, czem jest miłość, życie i śmierć!

Paryżanin, który po raz pierwszy słyszał poleską dziewczynę, wychowaną poprostu, widząc przytem wrażenie, jakie słowa jej sprawiały na Poleszuku, uniesiony wdzięcznością, pochwycił jej rękę i do ust przycisnął, a Poleszuk spuścił podniesioną dotąd dumnie głowę i rozmówiwszy się z rządcą rudni, gdzie się najął za parobka, poszedł z nimi milczący, gdzie go powiedli. Hryczy i Wasio, czekający opodał, do nóg się rzucili paniczowi Markowi, prosząc, aby nie opuszczał młodszego braci ludu, z którym od wielu wieków w bratniej zgodzie żyli jego pradziady.

— Widzicie, że trudno mi być musi go opuścić — dodał Marko — kiedy zamiast od razu puścić się jak należało w świat na Czarne morze, gdzieby mię już z pewnością nikt nie odszukał, ja pozostałem w dolinie Prypeci, durząc sam siebie, że i tu będę mógł żyć niepoznany... — A po chwili milczenia mówił dalej, zwracając się już teraz do Hryczego i innych Poleszuków:

— Gdyby mnie nie było, gdybyście mieli jednego tylko dziedzica, czyliż nie musielibyście pokochać go zdwojonym kochaniem, boć znam was i wiem, że zaprzecić się tego, coście wiernie przez tyle wieków pradiadom naszym oddawali w serc daninie, nie potraficie. Wtedy i on nauczyłyby się cenić was, i powoli, gdy pan Orchard lepiej teraz z mego listu dowiedziawszy się, co warte są włości, które chciał zmarnować, nie nagliłyby do sprzedaży, może Paryżanin osiedliłby się w starem gnieździe i dawne czasoby wam wróciły...

— Otóż w tem się mylisz — odparł Ernest — bo to, co mówisz, może być, ale tylko wtedy właśnie, gdy ty pozostaniesz ze mną, inaczej... patrz, oto jest umyślnie dla ciebie przygotowana kopia ostatniej prośby mojej, ostatniej woli raczej, jaką pozostawiłem w rękach księdza Jacka, na przypadek, jeżelibym znalazłszy ciebie nie wrócił z tobą, bo wtedy wiedz, że nie wróciłby żaden z nas dwóch do rodzinnego gniazda...

I podał Ernest kopię prośby swęj ostatniej Hryczemu, który odczytał ją głośno: był to prosty akt darowizny części gruntów chłopom, a reszty księdzu Jackowi na jakikolwiek zakład naukowy, czy dobroczynny, wedle jego uznania i potrzeb miejscowej ludności. Ostatni z rodu starych panów tej części poleskiej doliny wyrzekł się swęj ojcowizny i wracał na obcą ziemię, jak z niej przybył, przepadając dla własnej.

— Nie, na to nie pozwolę! — zawołał Marko ożywiający się nagle — Ja chcę, aby ta ziemia zyskała syna, zamiast go tracić!

— A więc przystań na słuszny, równy podział jęj między mnie i ciebie i na wspólne na nią życie, a zostanę na nią — powiedział Ernest.

— Któż mi zaręczy, że ty sam nie pożałujesz późniejszego dzisiejszych uniesień i postanowień?... że ze wstrętem kiedyś nie odwrócisz się i od tego brata i od tej ziemi? — zawołał z żalem Marko.

— A więc, słuchaj — żywo odparł Ernest — wszak masz zupełne zaufanie w rozumie i życzliwości księdza Jacka? Pójdźmy do niego i uczynmy, co on postanowi.

Marko po namyśle przystał na to, a ksiądz Jacek, wysłuchawszy z uwagą obu braci, namyślał się także i to dosyć długo, aż rzekł nareszcie:

— Moje dzieci, macie oba słuszne racje, tak, że rozsądzić pomiędzy wami tej sprawy teraz jest niepodobna, gdyż trudno zaręczyć, czy wy sami jeszcze z czasem przekonani nie zmienicie. Otóż jabym wam radził odłożyć ostateczne postanowienie, pozostawiając tymczasem zarząd waszych włości w rękę Hryczego, a samym we dwóch razem odbyć kurs wyższych nauk, jak to Ernest sam jeden miał zrobić za powrotem do Paryża. Marko, nie mówiąc już o samej nauce, nie straci nic na zapoznaniu się z szerszym światem, tak jak Ernest wcale nie stracił, poznając się bliżej z rodzinną włością swoją; tymczasem zaś dojrzejecie moralnie i bez cudzej porady będziecie wiedzieli, co postanowić, zwłaszcza, że i poznać się lepiej wzajemnie.

Dwaj bracia zgodzili się na radę księdza i zastosowali do niej, a natenczas stało się to, na co doświadczony ksiądz skrycie rachował: oto szkolna ława poprzyjaźniła braci tak ściśle na życie całe, że po skończeniu nauk wcale już, nietylko sprzeczki, ale nawet układów pomiędzy nimi nie było, gdyż czuli, że nie podobnaby im było rozstać się na dłużej. Zamieszkali więc obaj stale na Pińszczyźnie, odwiedzając tylko tęskniących za nimi krewnych w Paryżu.

Stary Wasio długi jeszcze lata służył za przewodnika ludziom, przeprowadzającym się przez poleskie błota; i wraz z całą gromadą poleską, która to niegdyś opiekowała się „paniczem Markiem”, pysznił się teraz Wasio swoim wychowawcą, nie już „paniczem” ale panem Markiem. A gdy za staraniem i pod kierunkiem Marcyana rozpoczęto wydobywać węgiel kamienny z pokładów, ukrytych dotąd w bogatej a milczącej ziemi, gdy nowy dobrobyt skutkiem tego wraz ze zwiększonym polem pracy spłynął na mieszkańców okolicznych, wtedy już granic nie miała duma gromady, z której

każdy Poleszuk wieśniak, biorąc się w boki przy lada wzmiance o panu Marku, mówił:

— Otóż my sobie wychowali pana, co daj Boże!...

Chaty, ze dworem spojone węzłem bratniej miłości, zakwitły spokojnem szczęściem, możliwem na świecie w takich jedynie warunkach. Obaj bracia znaleźli sobie z czasem dobre i miłe żony, a poczciwi Poleszacy pieścili i kochali tem samem gorącym uczuciem ich dziatwę, małych paniczyków i panienki, a w starym dworze wesoło było i gwarno.

Szczęście to po przyjrzeniu mu się tak ucieszyło pocziwe serce „francuzkiego dziadzi”, że nie tylko sam kilkakrotnie przyjeżdżał ze swojej „pięknej Francyi” aby mu się przyparzeć, ale nawet przywiózł raz z sobą siostrę swą „francuzką babcię” która po dłuższym wśród wnucząt pobycie przestała ojczyznę ich nazywać „krajem dzikich” i po długich latach żalu przebaczyła nareszcie temu krajowi nieszczęście, jakie niegdyś spotkało w nim jej ukochaną córkę, przekonawszy się, że nieszczęście po największej części w nas samych nie wa źródło swoje. Może pojęła, że zbyt czyste rozpieszczenie córki przyczyniło się wiele do uczynienia jej nieznośnem życia, w którym przy surowszem wychowaniu i ona mogłaby wytrwać w zdrowiu i uczuć się szczęśliwą.

DO KOTKA.

Za ogrodem, na łące,
Rosną kwiaty pachnące,
Płyną srebrne rzeczułki;
Ptaszki nuć pieśń w gaju,
O swobodzie, o Maju;
Brzękiem wtrząć im pszczołki.

Szmerzą wody i drzewa,
A w około rozbrzmiewa
Hymn wesela, dziękczynny, radosny,
W blaskach słońca kwiat płonie
I śle cudne swe wonie
Stwórcy słońca i wiosny.

Wśród motylów i kwiatów,
Róż, stokrotek, bławatów,
Któż to stąpa tak cicho i skrycie?
Ach! to kotek się skrada;
Biedne ptaszki, wam biada,
On na wasze zaczął się życie!

Jakto strzyże uszkami,
I przebiera nóżkami
Pocichutku a zdradnie,
Ej! z tych kocich igraszek
Już ja widzę, że ptaszek
Pod pazurki kotkowi wnet wpadnie.

A ty kotku, szkaradny psotniku,
Co śnisz tylko o ptaszkach i mleku,
Wstyd tak pragnąć wszystkiego dla siebie!
Wszak i mleka i chleba
Masz ty ile potrzeba,
I o tobie tam myśli Bóg w niebie.

Bo co Boże nie ginie,
O najmniejszej ptaszynie
Ten Bóg dobry tam zawsze pamięta;
Czyż ją na to miał stworzyć,
Żeby miały co spożyć
Takie, jak ty, drapieżne kocięta?

Spojrzyj, kotku, w około,
Jak tu ślicznie, wesoło,
Porzuć brzydkie zamiary
I nie zamąć tej ciszy,
W której lepiej się słyszy
Cuda Boże i czary.

Gabryela Jasińska.

Pracownia pana Adama.

POGADANKA NAUKOWA.

— O, poczciwe moje dzieci — mówił p. Adam, witając młodych sąsiadów — jakże wam wdzięczny jestem, że mnie teraz częściej odwiedzacie. Tem smutniej mi jednak będzie, gdy wyjedziecie do Zakopanego, nie wiem, co ja tu pocznę bez was...

— Jaka to szkoda, że kochany p. Adam jechać z nami nie może! — zawołała Helenka — ale my tam o panu ciągle myśleć będziemy, zwłaszcza przy zbieraniu kwiatów, a jaki zielnik przywieziemy! Już naprzód cieszę się myślą, jakie ciekawe rzeczy pan nam opowiadać będzie o każdej roślinie.

— Byleście tylko najosobliwsze wszystkie poodnajdowali i zebrali.

— Już niech pan będzie spokojny — rzekł Wacław — ja się zapoznam z uczonymi botanikami, a niebrak ich podobno nigdy latem w Zakopanem, oni mi wskażą, gdzie mam szukać różnych osobliwości.

— Najpierw storczyki biorę na siebie — mówiła Helenka — p. Adam tak dokładnie i szczegółowo mi opowiedział, jak te śliczne kwiaty wyglądają, że odróżnię je od wszystkich innych; czy to będzie *Orchis* z ostrogą, czy *Ophrys* bez ostrogi.

— Wielkie mi rzeczy! — mruknął Wacław, wzruszając ramionami — samych storczyków napakujesz w zielnik; a mówił przecież p. Adam, że one się bardzo źle zasuszają i wcale nieładnie wyglądają muszą w zielnikach. Ileż to w Zakopanem jest innych pięknych i rzadkich roślin.

— Niechno ja ślicznie p. Adama poproszę, to mi i o tych innych opowie, jak wyglądają, gdzie je znaleźć można, a nie poprzestaną pewnie na storczykach.

— Z największą ochotą — odrzekł staruszek — ja gawędzić niezmiernie lubię, jeśli kto słucha z uwagą i zajęciem. A tu jeszcze mam za to dostać piękny zielnik; oboje na tem zyskamy, gdy wskażę kochanej Helence, co ma w nim zasuszyć. Ba! w kłopotcie jestem coprawda, roślinność tatrzańska tyle bogactw, tyle skarbów w sobie mieści. Postarzę się jednak wybrać i wyliczyć najcenniejsze przynajmniej. O szarotce już nie mówię, bo tę znają wszyscy, nawet i nie botanicy. Kwiatek ten ma przymioty tak zwanych nieśmiertelników, nie więdnie i zachować się daje bez trudności. Lecz są także inne, które łatwo można zasuszyć. Jeżeli pojedziecie na jaki szczyt wysoki, np. na Czerwony wierch, nie zapomnijcie urwać tam parę okazów górskiej wierzby. Liście jej skórkowate wybornie się zasuszają.

— A cóż to znów za taka osobliwość, wierzba? — pytała Helenka — całego drzewa przecież nie zerwę, a cóż tam po listeczkach..

— Przeciwnie, prosilibym, ażebyś mi tę wierzbę przywiozła całą, z korzeniem nawet — z uśmiechem przerwał p. Adam.

— Co, las mam karczować, drzewa po górach wyrwać z korzeniem?..

— Bądź spokojna, nie umęczysz się tem karczowaniem. Jest to właśnie jednym z najdziwniejszych cudów przyrody, że drzewa na górach maleją, karłowacieją. Sosna zamienia się w kosodrzewinę, która ma rozmiary krzewów niedużych, a wierzba przybiera postać malutkiego, pełzającego ziółka. Łodygi jej niekiedy są zupełnie zielone, miękkie, i wówczas zowie się zielną, *salix herbacea*; częściej jednakże gałązki po zostają drzewiaste, korą okryte, chociaż leżą na ziemi pośród mchu, rozkładając tam okrągławe listeczki i kotki kwiatowe, zupełnie podobne do tych, jakie mają zwyczajne nasze drzewa wierzbowe. Najobfiej widziałem je wyrastające na wyżynie Czerwonego wierchu w Tatrach, był to gatunek zwany w botanice *salix reticulata*. Kto się na tem nie zna, przejdzie przez ten las, nie spostrzegłszy wcale, że stąpa po wierzbach.

— Już mnie się to nie zdarzy, będę dobrze uważała, a na Czerwony wierch koniecznie pójdę.

— Na Gewoncie znajdziesz bogatszą jeszcze roślinność, radzę ci tam pójść także. Wyłącznie podobno na Gewoncie rośnie przepyszny gatunek ostróżki o dużych szafirowych kwiatach, nie ustępujących tym, które u nas hodują po ogrodach pod nazwą *delphinium*. Bo też te ogrodowe ostróżki pochodzą z gór alpejskich. Na Gewoncie przebywa także ładny traganek górski, *astragalus montanus*. Jest to nieduża roślina z rodziny strąkowych, o kwiatach błękitnych, z kształtu do wszystkich groszkowych podobna, o listeczkach pierzastych, niezmiernie drobnych i licznych.

— To już tak, jakgdyby p. Adam miał w kieszeni te obie rośliny, pyszną ostróżkę i ładny traganek; nie ujdą one rąk moich, jak pójdę na Gewont.

— Nie pójdziesz ty jednak na wszystkie najwyższe szczyty — mówił Waclaw, pokręcając głową — nie znajdziesz tam, gdzie ja z panami się dostanę, nie potrafisz odszukać wszystkich najosobliwszych roślin.

— Czemu nie pójdę, czemu nie odszukam? nudny jesteś, Waclawie, ja mam dobre nogi i zobaczysz, że z ojcem wszędzie pójdę.

— Ależ najpewniej — potwierdził dobry p. Adam — i niepotrzebnie Waclaw siostrzyczce dokuca, jedyna to wada kochanego Wacka, radbym, ażeby i tój się pozbył. Zresztą, na najwyższych szczytach, na dzikich cyplach Gerlachu, Swinnicy i innych, nic już nie rośnie, chyba mchy i porosty, a i tych często braknie, naga skała świeci tylko, w szparach śnieg wieczny leży.

— A widzisz, widzisz! — wołała Helenka, klaszcząc w ręce — i cóż ty tam znajdziesz osobliwego, choćbyś i poszedł z panami na takie szczyty wysokie, gdzie ja się nie potrafię wygramolić. Znajdzie się dosyć pięknych kwiatów i rzadkich roślin w dostępnych miejscach.

— O, aż nadto — upewniał staruszek — żeby tylko najciekawsze wybierać, nie przechodzić obok skarbów obojętnie, jak to czynią tak często turyści, nie mający o botanicę wyobrażenia. Niedaleko szukając, w samym Zakopanem, po rowach, pod płotami, znajdziecie kwiat okazały, zazwyczaj starannie hodowany po ogrodach naszych, tojad mordownik, *aconitum napellus*.

— Akonit! ależ ja ten kwiat znam dobrze — mówiła Helenka — ładny jest, szafirowy, ma kształt hełmu, lecz podobno jadowity.

— I bardzo nawet, niedarmo mordownikiem się zowie. W górach Himalaya rośnie gatunek gwałtowniej jeszcze trujący, zowią go *aconitum ferox*. Bo też tojady należą do rodziny jaskrów, a jaskry w ogóle niedobrej sławy używają. Nawet te niewinnie wyglądające, żółte łąkowe, omijane są przez bydło, które instynktem czuje ich szkodliwość.

— Nic to nie znaczy, tojad tatrzański pójdzie dlatego do zielnika, przecież do ust go brać nie będę.

— Zapewne zaraz po przyjeździe do Zakopanego wybieracie się do doliny Kościeliskiej, bo to wycieczka niedaleka i wcale nie męcząca. Ach! co tam za kwiaty, co za kwiaty! Najpierw w pobliżu skały, zwanej przez górali Krakowem, w cienistych ustrojach poszukajcie pięknych fiołków żółtych.

— Alboż są żółte fiołki? Toż nie powinnyby się nazywać fiołkami, tylko żółtaczkami chyba.

— Ba! kształt mają najzupełniej ten sam, co i fiołki zwyczajne, tylko barwą złocisto żółtą się wyróżniają i wyglądają ślicznie. Zowią je dwukwietniami, *viola biflora*, gdyż wąż łądzka zwykle podtrzymuje dwa kwiateczki i dwa listeczki; bywa ich jednak często po trzy. Następnie nie tracąc czasu, oglądajcie się po skałach i gładzach olbrzymich, rozsypanych w dolinie Kościeliskiej, a natraficie wkrótce na śliczny kwiatek, który z pewnością uwagę waszą zwróci na siebie. Wyobraźcie sobie łądzkę cienką, wysmukłą, a prostą jak drucik, wznoszącą się wprost z nagiętej skały. Przy nasadzie jej obacycie różyczkę liści grubych, skórkowatych, ząbkowanych u brzegu, przytulonych do głązu. Z pośrodku strzela owa łądzka i podtrzymuje okazałe grono kwiateczków niedużych, lecz dziwnie miłych i wdzięcznych. Mato-

wo białe, jakby porcelanowe, oznaczone są purpurowemi kropczkami; mają po pięć płatków, po dziesięć pręcików.

— O, poznam śliczny ten kwiatek, panie Adamie, poznam od pierwszego wejrzenia, zerwę i zasuszę — wołała Helenka.

— Paradna jesteś, siostrzyczko — odezwał się Waclaw — zerwiesz, zasuszysz, ale nie będziesz wiedziała, jak się ten kwiat nazywa, nawet o to nie pytasz.

— Nie pytam, bo p. Adam powie mi to zaraz bez pytania. Oj ty, paradny braciszku!

— Roślinę tę — mówił p. Adam — nazywają skalnicą lub łomikamieniem, *saxifraga*, *saxum* skała, *frangere* łamać, a nazwa to bardzo dla niej stosowna, przekonacie się sami. Zupełnie tak wygląda, jakgdyby wąż łądzki swoją łądzką przebijała skałę i w niej korzonek zapuszczała. Trudno pojąć, jakim cudem różyczka liści utrzymuje się na powierzchni nagiętej skały. Ale czy tylko nie za dużo wyliczyłem wam dziś tych roślin na raz, czy potraficie to zapamiętać?

— Ja sobie zapiszę wszystko, co p. Adam opowiadał — rzekła Helenka — i to dziś jeszcze, póki mam to świeżo w pamięci.

— Ach, te panny zaraz bazgrzą, zapisują — mówił Waclaw, kręcąc głową — widać, że nie liczą na swoją pamięć. Ja i tak nie zapomnę.

— O, o, panny! — przerwała Helenka oburzona — a ja właśnie nauczyłam się od p. Adama tego zapisywania. Patrz, co tu na biurku notatek rozmaitych. Aha! co teraz powiesz?

Waclaw nic nie powiedział, tylko śpiesznie się pożegnał, a stary przyjaciel pogroził mu z uśmiechem na nosie.

M. J. Z.

GWIAZDA SUDANU.

PRZYGODY PODRÓŻNIKÓW W AFRYCE ŚRODKOWEJ.

(Dalszy ciąg).

Znowu tedy powracam do pytania: co ja tu robię w tój przesławnej afrykańskiej stolicy, poco tu przybyłem? W chwili zapału przyjąłem bez namysłu propozycją wujaszka Baka, później dopiero przyszło zastanowienie, zapóźno, niestety! Należało zawczasu przygotować się na nieuniknione następstwa podobnego postanowienia; nikt mnie przecież nie zmuszał, nie namawiał nawet zbyt natarczywie, zgodziłem się chętnie, dobrowolnie, radośnie, teraz gorzko ubolewam nad lekkomyślnością swoją. Lecz co się stało, odstać się nie może, muszę więc rad nie rad pogodzić się ze swoim losem.

Potem z kolei zacząłem się nad tem zastanawiać, co mogło skłonić p. Katarzynę Voost do przedsięwzięcia tój niebezpiecznej i nużącej podróży? Młoda, piękna, bogata, czemuż nie używała tych darów Bożych w ojczyźnie, otoczona zbytkiem, wygodami, wśród wszelkich rozkoszy życia cywilizowanego, do których od dzieciństwa przywykła? Przez cały czas podróży starałem się wyrozumieć cokolwiek tój skrytą panienkę, lecz niełatwa to była sprawa. P. Katarzyna zawsze jednostajnie milcząca, niewzruszona, nigdy nie dała się wciągnąć do dłuższej, szerszej rozmowy. Wkrótce też ze zdziwieniem spostrzegłem, że wujaszek Bak i ciocia Gudula tyleż wiedzieli, co i ja, milcząca panna i przed nimi się nie wynurzyła z tem nigdy, w jakim celu, poco i na co tój podróż przedsięwzięła.

P. Katarzyna wyglądała obojętna na wszystko, nie zdradzała żadnych szczególnych upodobań. Nie budziły w niej nadzwyczajnego zajęcia zielniki wujaszka Baka, nie ożywiała się podczas rozmowy o kwestjach geograficznych, zawsze jednakowo sztywna, była dla mnie przez czas długi prawdziwą zagadką. W końcu przecież natrafiłem na rozwiązanie.

Nawet i ten posąg miał bowiem swoją słabą stronę, którą tylko wysledzić i wykryć należało. To też w końcu udało mi się na tej zagadkowej twarzy spostrzedz pewną zmianę, nieznaczną, dla mnie jedynie widoczną. Gdy wujaszek Bak wymawiał nazwisko Aleksandryny Tinne, słynnej podróżni-

Katarzyny, natomiast gorliwie zabrałem się do ciotuni, a ponieważ pocziwa p. Gudula, nie będąc gadatliwą w ujemnem znaczeniu tego wyrazu, do milczących także nie należy, więc pomalutku z jej rozmowy doszedłem wszystkiego. Inny autor, dla wywołania dramatycznych wrażeń, trzymałby może



Do kotka (str. 163).

czki, rodaczki swojej, p. Katarzyna rumieniła się lekko, oczy jej dziwnego nabierały blasku, ręce zaciskały się czasem mimowolnym ruchem, zdradzającym głębsze wewnętrzne wzruszenie.

Nawyki do badań naukowych, wiedziałem, iż niema tak słabiej nici, któraby przy cierpliwych i wytrwałych poszukiwaniach nie mogła doprowadzić do ważnych odkryć. Nie próbowałem już nawet dopytać się czegokolwiek od p.

długo czytelników w niepewności, pozwoliliby im snuć najrozmaitsze domysły, mniej lub więcej pochlebne dla p. Katarzyny, ja jednakże nie chcę być skrytym i nie odkładając całą prawdę opowiem.

Młoda, bogata dziedziczka, jak wszystkie panienki w jej położeniu, miała dużo, za dużo nawet swobodnego czasu. Niezbyt zamięłowana w światowych rozrywkach, lubiła czytać, lubiła także i marzyć. Wpadł jej w ręce opis podróży Ale-

ksandryny Tinne, przygody zakończone śmiercią przedwczesną młodą, odważną kobietą, wywarły głębokie wrażenie na dziewczynie chłodnej na pozór, pod tą powierzchownością ukrywającej serce szlachetne i pełne zapału, wyobraźnią żywą, chociaż błędzącą niekiedy na manowce.

Gdyby p. Katarzyna miała matkę, zwierzała jej się ze wszystkimi myślami i uczuciami, ta zapewne potrafiłaby jej wytłómaczyć, że nie każde bohaterstwo godne jest naśladowania. Można podziwiać nieustraszoną podróżniczkę Aleksandrynę Tinne, nie idzie za tem, aby młode panny miały za jej przykładem puszczać się w głąb dzikich afrykańskich krajów, gdy siedząc spokojnie w domu mogą być o wiele pożyteczniejsze.

Ale w braku matki i ojca. bo p. Katarzyna była zupełną sierotą, nikt jej tego nie powiedział. Poczciwa p. Gudula nie umiała pozyskać serdecznego zaufania samowolnej panny, a chociaż ja z jej opowiadań domyśliłem się tych wszystkich szczegółów, dobrodusza jejmość sama nie wyciągnęłaby nigdy wniosków podobnych. Wujaszek Bak nie bardzo się zastanawiał nad tajemnicami serc dziewczyn, zjawiska świata roślinnego dostarczały mu dosyć zagadnień do rozstrzygnięcia. Kochał niezmiernie siostrzenicę, przywykł jej dogadzać we wszystkim, powiedzmy całą prawdę, przywykł do różnych jej zachcianek dziwacznych, a chociaż zamiar podróży do Afryki przewyższał wszystkie poprzednie, że jednak z drugiej strony dogadzał jego własnym pragnieniom i upodobaniom, więc niedługo się sprzeciwiał.

Był to w rzeczy samej osobliwszy zbieg okoliczności. Młoda paniątka, w braku praktyczniejszego zajęcia, zamarzyła o sławie, o wawrzynach Aleksandryny Tinne, znudzona rozkoszą życia, które jej niczego nie odmawiało, zapragnęła sprobować trudów, nędzy, niebezpieczeństw, i oto dla dogodzenia tej fantazyi stary wujaszek, stara ciocia, rzucają spokojne ognisko domowe i puszczają się na nieznaną przygodę. Co więc, człowiek obcy, nie mający żadnych obowiązków dla tej paniątki z główką przewróconą, daje się namówić i dzieli z nią szalone wybryki.

Takie myśli snuły mi się po głowie przez znaczną część nocy, zasnąłem wreszcie, gorączka mnie opuściła i spałem smacznie aż do południa. Karol przyszedł mnie zbudzić.

— Pa-a-a-nie do-o-ko-ko-ko-rze! — bąkał mi nad głowę — pa-a-a-ństwo pro-o-o-szą bo ma-a-ja i-i-ść do sze-e-ej-ka.

III.

Przyjęcie u szejka.

Ubrałem się śpiesznie i poszedłem na taras, gdzie czekali na mnie p. Bakhuisen i panna Katarzyna. Z tarasu tego na dachu mogliśmy widzieć dokładnie całe miasto i okolicę dokoła. W stronie północnej roztaczał się widok najokazalszy, na wyniosły meczet Sankore, a dalej jeszcze na wspaniałą kopułę grobowca władcy Faki-Mahmuda. Na wschód roztacza się ogołocona płaszczyna Taramtu, na południe, poza starym meczetem Sidi-Jahia i gajem drzew palmowych ciągnie się w dal nieskończoną pustynia Kabara; na zachód także widać wszędzie piaszczyste, nagie równiny, w obrębie miasta tylko skąpy cień rzucają kępy palm i tamarysków.

Dla Europejczyka widok ten miał przedewszystkiem urok nowości, nie mogłem oczu oderwać od niego; p. Bakhuisen dość obojętnie spoglądał dokoła, już to przekonałem się, że oprócz ulubionych roślin, nic w świecie silniejszego wrażenia nie wywiera na nim, co do p. Katarzyny, twarz jej była, jak zwykle, marmurowa.

Nie było czasu do stracenia, zeszliśmy na dół i udaliśmy się w odwiedziny do szejka. Wysoki ten dostojnik, władca miasta Timbaktu, przyjął nas tak gościnnie w swoim państwie, że należało mu się podziękowanie i czolobitność. Rezydencyja szejka była bardzo blisko naszego mieszkania, prawie naprzeciwko. Imię jego, Ahmet el Bakai, podwła-

dni dla skrócenia przekreślali zazwyczaj na „el Bak”, podobnie jak w rodzinie p. Bakhuisena przezywano go wujaszkiem Bakiem.

Sąsiad nasz p. Lemercier nie omieszkał też z tego powodu nadać ulicze, dzielącej dom nasz od pałacu szejka, szumnego miana ulicy Bak. Był on Paryżaninem i to mu przypominało ulicę „du Bac” w stolicy nadsekwanijskiej. Ja wówczas jeszcze Paryża nie znałem, więc i podobieństwa oenić nie mogłem, lecz w parę lat później, odnosząc ten opis podróży w rękopisie do wydawcy paryskiego, przechodziłem właśnie przez tę ulicę „du Bac”. Jest wprawdzie różnica i znaczna nawet pomiędzy nią i uliczką naszą w Timbaktu, lecz obie są dość kręte, więc przy dobrej woli porównanie jest w każdym razie możliwe.

P. Katarzyna, idąc do szejka, wzięła do ręki firman, czyli list polecający, który otrzymała w Tripolisie od uprzedniego Yesyda - paszy, namiestnika tej prowincji. Gdyśmy stanęli przed obliczem Achmeta el Bakai, paniątka wręczyła mu najpierw ów firman w kopercie opieczętowanej lakiem zielonym, następnie przedstawiła nas dostojnikowi.

Trzeba wiedzieć, że podróżnicy europejscy, zapuszczając się w głąb Afryki, zwykle dla bezpieczeństwa przybierają zmyślane nazwy, do miejscowych zbliżone. I tak podróżnik Clapperton w Afryce nazywał się Abdallah, Richardson Yakób, Barth, Abd-el Kerim. Idąc za przykładem tych znakomitych poprzedników naszych, i my zapożyczylimy sobie wschodnie miana na czas podróży, więc p. Katarzyna zwała się Tenatila ben Amaret, wujaszek Bak Mohamed ben Tulal, a ja na gruncie afrykańskim byłem Ali ben Embarek.

Ale szejkowi, oprócz tych nazwisk przybranych, odkryliśmy także i prawdziwe, jak to czasem podczas maskarady przez uszanowanie dla jakiejś dostojniejszej osoby zdejmując się na chwilę maska w jej obecności.

Achmet el Bakai ben Moktar ma lat około pięćdziesięciu, wysokiego jest wzrostu, silnie lecz kształtnie zbudowany, twarz jego miła i inteligentna, zbliżona bardzo do typów europejskich, tylko miedzianą cerą się od nich wyróżniała; czarna, bujną brodę przypruszyła już z lekka siwizna, długie rzęsy ocieniały błyszczące oczy. Szejk przybrany był w kaftan i spodnie czarne, zawój tego samego koloru miał na głowie. Ujął on nas odrazu postępowaniem pełnem prostoty i szczerości, dobroduszną poufałością i uprzejmością. Pytał najpierw, do jakiej narodowości należymy.

— Czy wy jesteście *inglisy*? — mówił.

— Nie, nie jesteśmy Anglicy -- odpowiedziała p. Katarzyna.

— To może *merikani*?

— I nie Amerykanie także.

— A więc *Prusi*?

— Nie Prusacy, i nie Niemcy.

— A to chyba *francisy*?

— Nawet i nie Francuzi, pochodzimy z małego kraju, graniczącego z Francją.

— Francis bono! Francis bono! — wołał szejk i twarz jego rozjaśniła się jakby przyjemną myślą. Odgadłem, że sobie przypominał sąsiada naszego, p. Lemercier'a, który zaskarbił jego łaski miłem swem i wesołem usposobieniem.

P. Katarzyna usiłowała wyjaśnić, że w Europie są jeszcze inne kraje, oprócz Francji, Anglii i Niemiec, lecz nie szło jej to łatwo, pocziwy Achmet el Bakai nigdy w życiu nie słyszał o istnieniu Holandji ani Belgii, nie wiedział wcale o tem, że król Belgów tak gorliwie zajmuje się sprawą cywilizacji Afryki i tyle ma współczucia dla jej mieszkańców. A wtem myśl świetna błysnęła w głowie wujaszka Baka, powiedział szejkowi, że jest rodakiem panny Aleksandryny Tinne, znakomitej podróżniczki, zamordowanej przez Tuaregów w r. 1869 na drodze z Murzuku do Rat.

Wiadomość o tej smutnej przygodzie doszła była w swoim czasie do uszu Achmeta, pokiwał głową z ubolewaniem i parę przekleństw dosadnych przesłał Tuaregom północnym, którzy się tej zbrodni dopuścili.

Posłuchanie było skończone, chcieliśmy odejść, lecz szejka zaprosił nas na obiad, przygotowany już właśnie na tarasie, to jest na dachu pałacowym, ocienionym wspaniałą zasłoną papyrusową, na wzór starożytnego *velarium*. P. Katarzyna wymówiła się zmęczeniem, ale my z wujaszkiem nie mogliśmy odmówić, ażeby nie obrazić gościnnego władcy, przyjęliśmy więc zaproszenie.

Był to wielki, uroczysty obiad, wydany na cześć naszą naumyślnie, uczestniczyć w nim mieli wszyscy najwyżsi dostojnicy krajowi i wnet schodzić się zaczęli jedni po drugich. Przybył więc Sid el Awuat, brat szejka, Hamedi i Mohamed ben Szotar, synowcy jego; Kanori i Faam, piastujący godność emirów, przybyło dwóch kadych, tak zwany *mallem*, wielki kowal miasta Timbaktu, wreszcie i jakiś znakomity derwisz.

Z ciekawością spoglądaliśmy na pochod uroczysty tych wszystkich dygnitarzy, gdy wtem z radością ujrzelśmy wchodzącego sąsiada naszego p. Anatola Lemerciera, który także otrzymał zaproszenie na ten obiad.

— Francis bono! — zawołał szejka na widok tego gościa i witał go z wielką uprzejmością. Pocziwiec powtarzał z dumą i upodobaniem te wyrazy, wyobrażając sobie, że umie po francuzku. Tyle go wyczytał Arab Barbusza ben Szakur, jedyny profesor francuzkiego języka w Timbaktu i to mu najzupełniej wystarczało.

Zasiedliśmy do obiadu, nie mogę powiedzieć do stołu, bo za przykładem innych usadowiliśmy się po prostu na ziemi, nogi podginając pod siebie, po turecku. Szejka wyznaczył nam dwom i Francuzowi miejsca honorowe tuż obok olbrzymich półmisków drewnianych, stojących rzędem i wypełnionych po brzegi rozmaitemi dziwnymi potrawami. Dostojnicy zasiedli obok nas w kółko, sam zaś szejka nie siedział wcale przy uczcie, lecz z patryarchalną prawdziwie gościnnością przysuwał nam półmiski i zachęcał do jedzenia.

Musieliśmy kosztować wszystkiego, chociaż coprawda nie każda potrawa nęciła smak Europejczyka. Najpierw jako zupełni mieliśmy rodzaj kaszy z jagieł i z ryżu, a do tego mleko zsiadłe. Potem nastąpiły różnego rodzaju makarony, pszenne, kukurydziane, przyprawione z masłem, z miodem, garnirowane daktylami, a wszystko to straszliwie pieprzne. Mięso pieczone i gotowane z ryżem, na pieczyście wyborne gołębie, wreszcie warzywa, szczególnie pataty, z rodziny powojowatych, których kłącza podziemne, mączaste, smak mają wyborny, orzechy, *arachis hypogaea*, dziwne rośliny strąkowe. Kwiaty ich żółte, z których niższe tylko wydają strąki pękate, z kształtu do małych kokonów podobne, pod koniec kwitnienia nachylają się ku ziemi, ukrywają w nią zupełnie nasienniki i tam dopiero dojrzewają. Duże i tłuste ziarna pieką się jak kasztany, smakowały mi też bardzo na obiedzie szejka. Były tam także wyborne, nieduże dynie; wujaszek Bak, który nam o tych wszystkich roślinnych pokarmach udzielał wiadomości, nazwał owe dynie według terminologii botanicznej *cucurbita melopepo*.

Na deser wreszcie mieliśmy banany, daktyle, różne inne owoce zwrotnikowe i placki z prosa murzyńskiego. Trawiasta ta roślina, do zwykłego prosa zbliżona, uprawiana wszędzie w strefach gorących, nazywa się także *sorgo*. U nas znana jest tylko słoma prosa murzyńskiego, z nię to bowiem robią miotełki do czyszczenia sprzętów i sukien. Jako napój, lało się obficie piwo z prosa robione, zwane *dzya* i *menszu*, inny trunek, z fermentacji ziół otrzymywany. Z tych wszystkich specyałów najwięcej mi smakowały bułeczki pszenne, zupełnie na sposób europejski pieczone. Od tak dawna nie kosztowałem świeżego pieczywa! Wdzięczny byłem serdecznie za tę miłą niespodziankę piekarzom szejka.

Zresztą trzeba wyznać, że kuchnia afrykańska dużo pozostawia do życzenia, nie mógłbym jej zachwalać ludziom, przywyczojonym do wykwintnych restauracji paryskich, a choćby i brukselskich. Zajadaliśmy jednak dość ochoczo te fantastyczne potrawy, prowadząc przytem rozmowę ożywioną. P. Lemercier opowiadał mi, jakim sposobem dostał się do Timbaktu. Przybył on najpierw z Francji do portow-

wego miasta San Luis, przez krajowców zwanego Nder, a tu, naradziwszy się z rodakami, postanowił dotrzeć aż do Timbaktu, pełen odwagi i energii, nie uląkł się niebezpieczeństw takiej podróży.

Płynął najprzód rzeką Senegalem, minął Bakel i Medynę, i dostał się do wodospadów Felu. Przebył drogą lądową przestrzeń, dzielącą Senegal od Nigru, wawozem Kokoro dotarł do wyżyny Manding, przedarł się przez jej grzbiec do doliny Kamalii, aż wreszcie ujrzał przed sobą wspaniałą rzekę Niger, przez krajowców zwaną Dżubita. Znowu więc łodzią puścił się w dalszą podróż, i mijając Bamaku, Yamine, Segu, Sansandig, Yene, Hamd-Allahi, nareszcie stanął w Timbaktu i tu się osiedlił.

Francuz ten niezmiernie mi się podobał. Wesół, zawsze dobrej myśli, zadowolniony z życia i losu swego, jako towarzysz, był nieoceniony. Ani marzyłem o tem, abym w tym kraju dzikim, w mieście barbarzyńskim, w całym znaczeniu tego wyrazu mógł napotkać takiego człowieka, jak Anatol Lemercier. Już nawet przestałem narzekać na ciężkie losy, które mię do Timbaktu zagnały, ta godzinka rozmowy wprawiła mię w najdoskonalszy humor.

A rozmawialiśmy o różnych przedmiotach i przekonałem się, że nowy mój przyjaciel był człowiekiem dość wykształconym, czytał dużo i o wszystkim trafne zdanie wypowiedzieć umiał. Zauważyłem tylko, że miał jakieś uprzedzenie do poezji i poetów. Gdy chciałem pochlebić dumie jego narodowej, wymieniając nazwiska znakomych poetów francuzkich, przerwał mi niechętnie:

— Ach, kochany panie! Ci wierszokleci do niczego nie są potrzebni na świecie. Bywają nawet niekiedy szkodliwi, przewracają ludziom głowy swojemi niedorzecznemi baśniami. Nie, nie, nie broń pan poezji, nienawidzę jej, chociaż w rodzie swoim miałem poetę, i może też właśnie dlatego...

— Jakto? przerwałem zdziwiony — czyżby znakomity Nepomucyn Lemercier... *)

— Ach! to był stryj mego ojca — rzekł z westchnieniem p. Anatol, jakgdyby ubolewał nad tą zakałą swego rodu.

Wtem szejka zbliżył się do nas, ponapełniał czary nasze gliniane szumiącym piwem i z uśmiechem dobrodusznym, spoglądając na przyjaciela Francuza, powtórzył ulubione wyrażenie swoje:

— Francis bono!

IV.

Odkrycie botaniczne wujaszka.

P. Lemercier, opowiadając mi szczegóły swęj podróży, nie wspomniał nic o celu, który go tu do Timbaktu sprowadził, ja też nie byłem tak niedelikatnym, abym się miał o to dopytywać; však i my nie potrafilibyśmy mu ze swęj strony wytłómaczyć, pociśmy tu przybyli, na rękę mi więc było, że się nie naprzykrzał pytaniami.

Gdyśmy wstali od stołu, co ma znaczyć, że na znak gospodarza mogliśmy nareszcie rozprostować skurczone niewygodnie nogi, Achmet el Bakai zapytał, czy nie zechcemy się przejść i obejrzeć miasto. On sam ofiarował się być naszym przewodnikiem i pokazać osobliwości swęj stolicy. Przystaliśmy na to z ochotą, a i p. Lemercier przyłączył się do nas, chociaż dla niego „Gwiazda Sudanu” nic już nie przedstawiała ciekawego, znał doskonale każdy jej kątek.

Wierny Barbusza towarzyszył także panu swojemu na tęj przechadzce. Ze strzelbą przewieszoną przez plecy, z siekierką w ręce, olbrzym beduiński z powagą wielką postępował o parę kroków za nami z tyłu, jak lokaj za panienkami.

Przechodząc przez ulice, zauważyłem, że mieszkańcy miasta witali swęj szejka oznakami wielkiego uszanowania. Każdy przechodzień, spotykany po drodze, zatrzymy-

*) Autor wierszowanych komedij, dramatów i innych poetycznych utworów, żyjący na początku tego wieku.

wał się zaraz, całował ze czcią jego rękę lub kraj burnusa. Achmet el Bakai, jak dowiedziałem się od przyjaciela naszego Francuza, jest niepospolitą osobistością w kraju. Pochodzi on z rodu Uled bu Dżuda, bardzo znakomitego, początek genealogicznego jego drzewa tonie w pomroce wieków. Utrzymują bowiem, że jest potomkiem w prostej linii sławnego wojownika, nazwiskiem Obna ebn Nafa el Fari, który w początkowych dziejach Islamu wielką odegrał rolę, przekroczył Suez i zagarnął rozległą przestrzeń kraju pod panowanie wyznawców Mahometa.

(d c. n.)

ROZMAITOŚCI.

Domowe fajerwerki.

Nieraz dziatwa, pragnąc uczcić imieniny i tym podobne uroczystości rodzinne, chciałaby wyprawić iluminacją, fajerwerki. Najlepszy na to sposób, chcąc np. oświecić cały jakiś budynek, gmach, drzwi wchodowe, bramę, kazać zrobić stolarzowi na główne linie, mającego się oświecić fajerwerkiem budynku czy wejścia, listwy na pół cala wydrążone, w te listwy ponakładać pakuł, waty, watę tę posypać siarką tłuczoną, pokropić spirytusem, i prochem tłuczonym obsypać. To znowu obsypać proszkiem kalafonii lub żywicą tłuczoną na proszek.

Gdy już ciemno, takie listwy podpalone, przez kilka minut dadzą nam świetlany obraz budynków, bramy, łuku, cyfry, herbu, co tylko przedstawić chcemy.

Wielisław.

ŁAMIGŁÓWKA GŁOSKOWA.

(Od Gołąbki pocztowej dla Niezapominajki z pod Wawelu).

Z sześciu głosek się składa nazwisko badacza
Dziejów naszych ojczystych, przeszłości narodu;
Wieniec sławy już dzisiaj skroń jego otacza,
Gdyż pracą i zasługą zdobył go za młodu.

* * *

Poprobujemy teraz przedstawiać litery,
Brać na raz po dwie, po trzy, czasem i po cztery,
By piętnaście wyrazów mieć na zawołanie.
Z dwóch głosek będzie karta, przez graczyw ceniona,
Trzygłoskowych wyrazów osiem wnet powstanie,
Umiejętna przemiana tej sztuki dokona.

Więc owad co szkodę sprawia,
Ptak, co wyrazy wymawia,
Pewna nazwa przeznaczenia,
Płyn, co wodę zarumienia,
Pisarz słynny nieżyjący,
Kwiatek przyjemnie pachnący,
Rzeka z północnej krainy,
I wreszcie nazwa rośliny.

Pozostałe wyrazy są czterogłoskowe,
Pięć ich mamy, z tych jeden w gramatyce znany;
Drugi, choć go bajeczką mienią dzieje nowe,
Siał postrach pod Wawelem, aż był pokonany

Przez dzielnego Krakusa. Trzy jeszcze zostaje:
Smaczny napój ze wschodnich i oślinnych zdobyczy,
To, z czem rolnik we żniwa rzadko się rozstaje,
To, co łatwo odróżnia słodycz od goryczy.

* * *

Kto męża uczonego nazwisko odgadnie,
Ten te wszystkie wyrazy wnet ułoży składnie;
A Niezapominajka główki nie utrudzi,
Lecz w serduszkuz jej radość i chluba się zbudzi...

Łamigłówka gwiazda.

(Pegaz skrzydlaty ofiaruje autorce „W imię koleżeństwa” za jej śliczną powieść).



Z 8-miu wyrazów 6-cio głoskowych i 8 wyrazów 5-cio głoskowych, układanych kolejno, a zaczynających się od litery K, ułożyć gwiazdę, o 8-miu dłuższych i 8-miu krótszych ramionach. Końcowe litery utworzą tytuł powieści. Znaczenie wyrazów: 1. Miasto starożytne polskie. 2. Łódki. 3. Izraelita do pewnej sekty należący. 4. Ptaki drapieżne. 5. Ptaszek młody. 6. Mineral. 7. Miasto w Czarnogórze. 8. Imię męskie. 9. Znaczna liczba. 10. Symbol wiary. 11. Gra towarzyska. 12. Rzeka w Rosyi azyatyckiej. 13. Jezioro w Grecyi. 14. Miasto w Persyi. 15. Miasteczko w Galicyi. 16. Wyspa europejska.

ROZWIĄZANIA DO N-ru 19-go.

Łamigłówki głoskowej:

Głoska A, której braknie w wyrazach: Londyn, Everest, Berlin, Rzym, Gniezno, Popiel, a znajduje się w wyrazach: Paryż, Francya, Kraków, Warszawa, Piast, Śnieżca.

Łamigłówki zegarka:

ParasoL — PomorzE — PliniusS — PotwarzZ — Poganię —
PotomaK — PadaleC — PoloneZ — PanterA — ProchoR —
PanteoN — PampasY.

Leszek Czarny.

TREŚĆ: Doświadczenie fizyczne (z drzew.) — Na zbójckim Ostrowiu, powieść p. Zielińską.. — Do Kotka, wiersz, p. Gabryelę Jasińską. (z drzew.) — Pracownia p. Adama, pogadanka naukowa. — Gwiazda Sudanu, przygody podróżników w Afryce środkowej. — Rozmaitości. — Łamigłówki i rozwiązania. Dodatek. Straszne niebezpieczeństwo p. M. J. Z. (z drzew.) — Dwie córeczki, wiersz p. Maryą Ledną. — Kurki Wicusia p. M. Weryho. — Lalka, opowiedziała Anna Z. — Łamigłówka i rozwiązanie. — Skrzynka do listów. Dodatek książkowy: Branka litewska, opowiadanie z dawnych czasów p. Michalinę Zielińską.

STRASZNE NIEBEZPIECZEŃSTWO.

W dużym lesie, na brzegach strumienia, żyła sobie para ptasząt. Gdy słoneczko przygrzało na wiosnę, ptaszki urządziły śliczne gniazdeczko w gęstwinie leśnej, samiczka zniosła trzy malutkie, nakrapiane jajeczka i zaraz na nich zasiadła. Samczyk był bardzo uradowany, śpiewał wesoło, siedząc w pobliżu na gałązce, pamiętał o tem, aby samiczka nie była głodna, przynosił jój wyborne liszki, chrabąszczyki, czasem i ładnego motylka zamordował, ażeby żoneczka jego nie była głodna.

Jajeczka starannie wygrzane pękły w końcu i wydobyły się z nich malutkie pisklętka bez piórek, ślepe, z żółtymi dziobkami, i wcale nieładne. Ale rodzicom dzieci zawsze wydają się prześliczne, to też mateczka ptaszyna nie posiadała się z radości na widok swoich malców, ojczulek także nacieszyć się niemi nie mógł. Działwa ta wnet zaczęła pisać, dziobki roztwierać, każda na świecie mateczka rozumie, że tym sposobem prosi się jeść.

Oj! cóżbo to za żarłoczne były pisklęta. Nigdy im nie starczyło: przyniósł ojczulek dwie liszki, to ledwo dwojgu dziobki zapchał, trzecie wrzeszczało w niebogłosy; przyniosła mateczka przepyszniejszego żuczka, one w mgnieniu oka go rozszarpały i znów czekały z rozdziawionymi dziobkami. Kłopot to był i trud niemały dla rodziców, nigdy jednak, ani ojczulek, ani mateczka, nie narzekali na to, przeciwnie, cieszyli się, że malcy taki mają doskonały apetyt, bo to jest znak zdrowia. Wieczorami, gdy żarłoczna działwa usypiała, ptaszek ojczulek odpoczywał sobie na pobliskiej gałązce i śpiewał:

Mam ja gniazdko swoje własne,
Niezbyt duże, lecz nie ciasne,

Matka działwę tuli,
A ja śpiewam luli,
Kotłyszę do snu,
I dobrze nam tu.

Dobrze im było naprawdę w tem cichem, spokojnem ustroniu, działwa rosła zdrowo, a rodzice nastarczyć nie mogli smacznych kąsków. Nieraz też oboje razem musieli wyruszać na polowanie, a pisklęta same zostawały w gniazdeczku. Wówczas siedziały cichuteńko, nie wychylały się, nie pisały, bo tak kazali rodzice, a malcy były posłuszne, spełniały więc rozkaz, nie pytając nawet o przyczynę. Rodzicom zaś szło o to, ażeby czasem jakiś nieprzyjaciel ptasiego rodu nie wyśledził gniazdka podczas ich nieobecności.

Niestety! na nic się ta ostrożność nie przydała. Straszna, jadowita gadzina, prześlizgując się wśród leśnych gąszczy, spostrzegła bystrym swym wzrokiem gniazdeczko, chociaż ukryte było w gałęziach. Potwora ta zaczęła się za pnem grubego drzewa i czekała cierpliwie chwili, gdy ptaki razem wylecą po żywność do lasu. Młode, tłusciutkie pisklęta, to dla niej gratka pożądana, więc jak tylko spostrzegła je same w gniazdeczku, chytra gadzina wdrapała się na drzewo i wystawiwszy jadowity język, błyszczącymi oczyma wpatrzyła się w swoje ofiary.

Biedne pisklęta przestraszyły się okropnie, one wprawdzie pierwszy raz w życiu widziały gadzinę, ale instynktem odgadły, że to musi być jedno z tych okropnych, niegodziwych stworzeń, co to pożerają biedne ptaszęta. Rodzice nieraz wspominali już o tem przed dziećmi, że takie potwory są

na ziemi, bo musieli je przecież powoli oswajać z niegodziwością tego świata.

Okropna to była chwila, gdy nieszczęśliwe nasze żółtodziobki ujrzały nad sobą zawieszoną to czarne cielsko, tę dużą, straszną głowę. Syk złowrogi dał się słyszeć, biedactwa zapiszczały żałośnie, już, już wybić miała ostatnia ich godzina, gdy od strony lasu dał się słyszeć znany głos mateczki. Ona zawsze wyprzedzała ojczulka, niepokojąc się o swoje maleństwa w gniazdku. Możecie sobie wyobrazić, co się z nią stało, gdy obaczyła obrzydliwą gadzinę, ostrzącą zęby na ukochaną jój działwę.



Straszne niebezpieczeństwo.

Odważna ptaszyna nie namyślała się ani chwili, z szybkością strzały spadła na głowę gadziny i zawzięcie dziobać zaczęła na wszystkie strony. Gadzina z razu nie sądziła, aby taka nieduża ptaszyna pokonać ją zdołała; to też wcale nie ustąpiła z placu i kto wie, na czymby się ta okropna walka zakończyła, gdyby nie nadleciał na ratunek ojczulek.

O, wówczas gadzina odrazu poznała, że to nie przelewki, a ponieważ okrucieństwo zawsze idzie w parze z tchórzowstwem, więc niewiele myśląc zeskoczyła z gałęzi na ziemię. Ale dzielne ptaki nie dały jej umknąć, zawzięcie rzuciły się za nią, wydziobały jej oczy i dopiero wtedy nawpół oszalała z bólu i złości wypuścić. Niewiadomo, co się z nią stało, czy zginęła, czy też żyła jeszcze czas jakiś ślepa i niedołączna. Zapewne czytelnicy nie są ciekawi dalszych losów tej obrzydłej gadziny, więc nie zasięgaliśmy o niej wiadomości.

Co do ptaszków, po dokonaniu tak świetnego zwycięstwa, mateczka usiadła w gniazdku przy dzieciach i troskliwie rozpytywała, czy im się co nie stało, czy bardzo się przelekły, a one nawet o głodzie zapomniały na całą godzinę, jak zaczęły opowiadać o strasznej, czarnej potworze. Ojczulek odśpiewał ładną pieśń tryumfalną, mateczka mu wtórowała, nawet dziatwa usiłowała dostrajać do tego pięknego śpiewu niewprawne swoje głosiki.

Chwała ptakom, cześć!
Niech radosna wieść
Zabrmi w całym lesie,
Niech rzesza skrzydlata
Chyżo ją zaniesie
Aż na krańce świata!

A drapieżny gad
Darmo zionie jad,
Nasza śliczna dziatwa
To zdobycz niełatwa,
Bo miłość zwycięża
Nawet chytrność węża.

M. J. Z.

DWIE CÓRECZKI.

Adzia, jeśli na chwilę bez mamy została,
Zmuszała ją do przyjścia, tak głośno płakała,
Nie pyta, czy zmęczona, czy może zajęta,
Adzia ciągle do mamy musi być przypięta.

Jej siostrzyczka Maryńcia, choć bardzo szczęśliwa,
Gdy mama w wolną chwilę córeczki przyzywa,
Bawi się tak grzeczniuchno, a nieraz pomoże,
Mameczka nią bezpiecznie wyręczyć się może.

To ją pośle po książkę albo po kluczyki,
To zastanie ją z kurzu czyszczącą stoliki,
Niosącą świeży bukiet, ścierającą plamę...
Która z tych dwóch dziewczynek lepiej kocha mamę?

Marya Leona.

KURKI WICUSIA.

W miejskiej chatce mieszkała kobieta z synkiem. Synek był jeszcze mały i nazywał się Wicus. Mieli trzy kurki i jednego kogucika.

Zimą kurki siedziały pod piecem w kuchni, bo w kurniku było zimno. Wicus dawał im codzień trochę ziarna, trochę chleba, kaszki, a czasem do ziarenek dodawał piasku.

Wiedział dobrze Wicus, że piasku samego kury jeść nie będą, ale za to umieją znaleźć w nim wapienne kamyczki, które bardzo lubią. Do picia zaś stawiał im w miseczce wodę na ziemi.

Przyszła wiosna. Śnieg stopniał. Słonko zaczęło przygrzewać.

Mama Wicusia otworzyła drzwi, zawołała na kurki, i wypuściła je na podwórze.

Kurki były bardzo z tego rade, przyjemniej im było biegać po podwórzu, niż siedzieć za piecem. Chodziły tu i owdzie i wesoło wyśpiewywały cieniutkim głosem: ke-ke-ke, a kogucik skrzydełkami machał i głośno krzyczał: kuku-rykuuu...

Razu jednego Wicus siedział na ziemi, strugał sobie patyczek. Aż tu słyszy podedrzwiami, jak kura krzyczy: ke-ke-ke! i dziobkiem puka do drzwi. Wicus otworzył drzwi i wpuścił kurkę do izby.

Kurka wbiegła i zaczęła latać, to na ławkę, to na stół, to na szafę i nareszcie wskoczyła na łóżeczko Wicusia.

— Cóż to z tego będzie? — myśli sobie Wicus.

Kurka chwilę posiedziała na łóżeczku, potem zeskoczyła i głośno znów zaczęła krzyczeć: ko-ko-ko-ko!

— A kiedy krzyczysz, to wynoś się, moja pani — powiedział Wicus.

Otworzył drzwi i wypuścił kurę na podwórze.

A sam prędko pobiegł do swego łóżeczka i widzi, że leży na niem ładne, białe jajeczko.

— Matulu, matulu! — zawołał Wicus — niech matula patrzy! kurka na moim łóżeczku złożyła jajeczko. Takie śliczniuchne, różowitkie! Co mam z niem zrobić?

— Schowaj je do koszyka na półkę. Może ich więcej uzbierasz — powiedziała matka.

Wicus usłuchał matki.

Drugiego dnia ta sama kurka znowu złożyła jajko na łóżeczku.

Wtedy mama Wicusia wzięła koszyk, nałożyła doń trochę siana i postawiła tuż przy łóżeczku. We dwa dni później przychodzi znowu kurka i widzi gniazdko dla niej usłane, siada do koszyka i kładzie takie same jajeczko. Wicus znowu je zabrał i schował, jak pierwój.

— Matulu — spytał w końcu Wicus — długo ja te jaja będę tak zbierał?

— A ile uzbierałeś jajek?

— Oj dużo, dużo — odpowiedział i przyniósł matce koszyk z jajami.

Matka przeliczyła i mówi:

— Jest ich dziesięć. Weź teraz, synku, koszyk, połóż w nim więcej siana, na sianie ułóż jajeczka i postaw w kątku.

Wicusz wszystko zrobił, jak matka mówiła. Niedługo przychodzi ta sama kura, woła znowu: ke-ke-ke i puka do drzwi. Wicusz jęj otwiera, ona wchodzi i widzi, że koszyczek z jęj jajami stoi w kącie.

Prędko skoczyła w niego i usiadła. Długo siedziała kurka. Przeszedł jeden tydzień, przeszedł drugi, a kurka ciągle siedzi, ciągle grzeje swoje jajeczka.

A taka złośliwa się zrobiła, że nikogo nie dopuszczała do siebie. Nie opuszczała też zupełnie koszyczka. Wyskoczy tylko na chwilę, podziobie trochę ziarenek i znowu do koszyczka wraca. Nareszcie po trzecim tygodniu kurka wstała i zaczęła niespokojnie biegać po izbie.

Wicusz coprędzej pobiegł do koszyka i zobaczył tam kilka małych kurcząt. Były bardzo małe, piórka miały żółte, dzióbki małe, a ogonków wcale nie miały.

Wicusz zaraz pobiegł i opowiedział to matusi.

A mama powiedziała mu na to:

— Teraz daruję ci te pisklątka, pilnuj ich i pielęgnuj je.

Wicusz ucieszył się z tego bardzo.

— Tyle kurek mieć będę! — zawołał.

Co prawda pilnował kurcząt bardzo starannie, siekał jaja gotowane i dawał im jeść, bronił od psów i kotów, a za to na jesień doczekał się ładnego stadka.

M. Weryho.

LALKA

OPOWIEDZIAŁA ANNA Z.

(Dalszy ciąg).

ROZDZIAŁ II.

Pierwszy szczęśliwy dzień w życiu lalki.

Ile godzin w tych męczarnich upłynęło? nie wiem! bo dobroczynny sen wkrótce przeniósł mnie w krainę złotych marzeń.

Gdy otworzyłam oczy, zdało mi się, że się rzeczywiście znajduję w jakimś zaczarowanym kraju. Wieko pudełka było podniesione, a ja ciekawie rozglądałam się dokoła. Był to, jak się później dowiedziałam, nie raj, lecz śliczny pokój mojej nowej właścicielki, w jednym jego rogu znajdowało się mieszkanie dla mnie. Z pół tuzina głów otaczało mnie w niemym zachwycie; były między nimi duże i małe, brzydkie i ładne, a wszystkie nachylone ku mnie, jakby mówiły: „dzień dobry”.

Pierwsze słowa, jakie po przebudzeniu się usłyszałam, były wymówione przez ślicznego, złotowłosego chłopczyka, który pilnie mi się przypatrując, zawołał z zapałem:

— Ach, jaka ładna! Zkąd ją Halinka wzięła?

Teraz przystąpiła do mnie Halinka, wzięła mnie na ręce, pocałowała w czoło, jak na poważną matczkę przystało; wytłomaczyła Stasiowi, że to jego tatuś jęj na imieniny mnie w darze ofiarował, i w końcu poprosiła wszystkich dużych i małych, aby wyszli z pokoju, bo lalka, długą podróżą zmęczona, położyć się musi.

Wdzięczna byłam Halince, bo gwar ten niezwykle przestraszał mnie już zaczynał, ale spać mi się bynajmniej nie chciało. Wszystko tu zwracało moją uwagę, jako nowe dla mnie. Jakże miłutko pokoił ten wyglądał, wypełniony sprzętami wygodnymi i gustownymi, nie zaś półkami i mnóstwem przedmiotów, jak to było w dawniej mojej siedzibie. Przedewszystkiem ciekawą byłam mieszkania mi przeznaczonego.

Wkrótce ciekawość moja była zaspokojona. Gdy nieproszeni goście odeszli, Halinka wzięła mnie troskliwie na ręce i poszłyśmy razem do części pokoju oddzielonej niskim parawanikiem. Serce mi zabiło gwałtownie, ten śliczny gabinecik miał do mnie należeć.

Wszystko tu było nowe, ładne i wesołe tak, jak i nowa jego właścicielka, to jest, nie chwając się, moja osoba. Łóżeczko pokryte muślinowymi firankami. Lustro w złotej papierowej ramie, zawieszane nad toaletą, na której były ustawione przybory do mycia i czesania. Cztery fotele i kanapka, ładnie ręką Halinki zapewne kolorowymi włóczkami wyhaftowane, bardzo wspaniale wyglądały. Ale mnie najbardziej zajęła porządna szafka, z kluczem w zamku, od niej oczu oderwać nie mogłam. Ileż to skarbów musi ona zawierać, a wszystkie na mój wyłączny użytek przeznaczone.

Halinka obróciła klucz w zamku, ja z natężoną wpatrywałam się uwagą. Zamek zgrzytnął, drzwi skrzyknęły... a moje szeroko rozwarte oczy ujrzały... puste półki i puste wieszadła. Jakże bolesne było to rozczarowanie. Z trudnością łzy i łkania tłumiłam, nie chcąc zasmucać mojej opiekunki. Przed chwilą w bujnej wyobraźni widziałam się już z dumą w lustrze o złoczonej ramie, przybraną w piękne aksamitne szaty, jedwabne okrywki, koronkowe szale i tryumfowałam złośliwie nad memi dawnymi sąsiadkami ze sklepu. Wstydę się dziś tych nieszlachetnych uczuć, bo rozumiem teraz, jak mało znaczący byłby taki tryumf, i dziś sądzę nawet, że ten na razie bolesny zawód bardzo dobrze wpłynął na wykształcenie mego charakteru. Wyrzucam sobie także żal mój i sąd niesprawiedliwy, którym potępiłam wtedy Halinkę, posądzając ją, że szyc dla mnie nie chce lub nie lubi.

Nie długo na szczęście zatrzymałyśmy się przy pustej szafce, bo też i nic w niej nie było ciekawego, a zajęta oglądaniem innych przedmiotów, nie zdążyłam wypowiedzieć tych gorzkich myśli, czem Halince i sobie oszczędziłam wielu przykrości.

W końcu zmęczone siadłyśmy obie na kanapie, by wypocząć, przyczem Halinka długo ze mną rozmawiała; opowiadała mi o swych szczęśliwych latach dzieciennych, kiedy jeszcze rodzice jęj żyli i mieszkali w pięknej wiosce, otoczonej lasami, dokąd jeździła z nimi na śliczne spacerki. Ale od tego czasu dużo się zmieniło. Biedna Halinka została sierotą; rodzinną wioskę sprzedano, a ona zamieszkała u wujostwa, którzy dobrzy byli dla niej, ale rodziców zastąpić nie mogli.

Bardzo mi było żal Halinki, gdy opowiadała o tych smutnych wypadkach. Halinka miała łzy w oczach, a ja czułam, że gdyby nie to, że oczy moje są szklane, tobym z nią razem płakała; ale serce moje gorąco się do mojej młodej opiekunki przywiązało i postanowiłam sobie nie martwić jęj nigidy.

Skrzynka do listów.

Tymczasem Halinka mówiła dalej i już o wesel-
szych rzeczach. Jak miłutka i kochana jest jej kuzynka Ma-
nia, a jeszcze miłszy jej braciszek Staś. Mania jest już
prawie panną dorosłą i lalkami się bawić nie lubi.

— Nie lubi! — pomyślałam oburzona i od razu stra-
ciłam dobre mniemanie jakie miałam o tej paniencie. Za
to Staś z opowiadania Halinki bardzo mi się podobał.
Był dobry i odważny, grzeczny i pilny, a wszystkie
lalki, które znał, lubił i całował. Ja zawsze sobie w ten
sposób wyobrażałam młodych, dobrze wychowanych
chłopców.

Pochwał też o zasługach Stasia nasłuchiwałam się
bez końca. On to zrobił złotą ramę do lustra, on pozno-
sił i poustawiał ciężkie szafy i inne meble, żeby mi było
wygodnie i przyjemnie. Zachwyciła mnie ta jego ry-
cerskość i cieszyłam się nadzieją, że jakiegokolwiek w przy-
szłości będą moje losy, znajdę w nim obrońcę i pocie-
szyciela. Nakoniec rzekła Halinka uroczystym głosem:

— Lalko! dziś jesteś dla mnie córeczką, którą mi
Bóg zesłał, a wuj na imieniny darował. Jeszcze inaczej
cię nazywać nie mogę, tylko lalką; za parę dni jednak,
gdy suknia twoja będzie gotowa, zaproszę moje przyja-
ciółki i wtedy to ochrzczimy cię, to jest, nadamy ci imię,
które odtąd nosić będziesz.

— A jakie to będzie imię? — zapytałam z obawą,
by brzydkie nie było, bo ja w każdej sprawie mam gust
wykwintny i nie lubię rzeczy pospolitych.

— Nie wiem jeszcze — rzekła zakłopotana Halinka
— to taka ważna sprawa, muszę się nad nią długo za-
stanowić i naradzić. Ale bądź spokojna — dodała, od-
gadując mi obawę — ładnym cię imieniem ochrzczimy.
Na teraz dość już tej pogawędki. Musisz być bardzo
zmęczona, moja laleczko. Dobranoc ci — rzekła, przy-
gotowując mi łóżko — śpij smacznie na tem nowem
miejscu.

Po chwili z rozkoszą wyciągnęłam zmęczone członki
na wygodnem pościeliu, a ona nachyliła się do mnie
i pocałowała serdecznie.

— Dobranoc, mateczko — szepnęłam na pół senna
i tak zakończył się ten pamiętny, pełny różnorodnych
wrażeń, pierwszy szczęśliwy dzień w mem życiu, które
w przyszłości przedstawiało mi się tak różowo, jak
firanki, w których cieniu wkrótce smacznie zasnąłam.

(d. c. n.)

Łamigłówa w kwadraciku (Góralka).

W kwadraciku z 16 podziałek ułożyć 6 A — 1 K —
1 L — 3 M — 2 O — 3 R — aby odczytać w obu kierun-
kach: 1, Zwierzę górskie. 2, Bózek mitologiczny. 3, Tka-
nina. 4, Trunek.

ROZWIĄZANIE DO N-ru 19-go.

Szarady:

O — ku — la — ry.

Krynicę upewniamy, że według Lindego i najwytrawniejszych
znawców języka, pisać się powinno *posyłam, posyłka*. Od wy-
razu *poseł* jest nazwa żeńska dziś nieużywana *posełka*, kobieta
poseł. Mama trafnie powiedziała, że kto dzieci kocha, stara się
przyjemność im sprawić. Nasza redakcja nieustannie to ma na
mysli.

Lis z Mazowska ubawił nas niezmiernie przerażeniem swoim
co do błędu w wyrazie francuzkim. Wiemy, kochany Lisie, że się
pisze *Journal*, lecz brak litery uszedł uwagi korektora, a drobny
błąd w wyrazie obcym nie ma żadnego znaczenia, *fatalnym* wy-
daje się tylko młodzieży, uczącej się po francuzku.

Polka Mazurka nie odznacza się piękną kaligrafią, to pewna,
ale za to bardzo miłe rzeczy bazgrze swojemi kulfonikami. Ucie-
szy się autorka „Zbójckiego ostrowia” i „Branki litewskiej”, że
wszystkie jej powieści tak zachwycają kochaną Polkę Mazurkę.
Łamigłówkę trudno wydrukować, bo czyż warto łamać głowę nad
odgadnięciem jakiejś miejscowości szwajcarskiej?

Brzydotka z nad Tamizy prawdziwej sztuki dokaże, jeżeli się
nie rozminie gdzie w podróży z „Wieczorami”. Czy nie lepiej cier-
pliwie czekać powrotu i wszystkie N-ra. razem odczytać?

Julii Wiesławcy prosimy, aby doniosła, kto jest autorem wier-
szka w zadaniu konikowem.

Cyganecka z nad Wisły ujrzałaby długi swój liścik wydru-
kowany, gdyby... ona jedna pisywała.

Kujawiakowi z pod Kruświcy odesłano żądane N-ra.

Poleszuczce z nad Płyczy odesłano powtórnie ów Nr.

Orzeł Lechicki może zmieniać pseudonimy, ile razy mu się
podoba. Serdecznie mu życzymy powodzenia w egzaminie, rozumie
się, że przy tak ważnej sprawie inne wszystkie na stronę pójść
powinny.

Polak może zostać przy tym pseudonymie, chociaż to właści-
wie nie jest pseudonym, co znaczy nazwa przybrana, lecz praw-
dziwe miano każdego syna tej ziemi.

Rumak arabski ułożył łamigłówkę, w której niepodobna od-
szukać składu ni ładu.

Drogi moje Terkotko i Kołowrotku. Wasze pseudonimy
bardzo mi się podobały i mogą śmiało pasować do mej osóbkki, bo
też ogromnie dużo mówię i prędko i ciągle sobie śpiewam różne
rzeczy a najwięcej „Tiu-tiu-lu” z „Mikado” i z szopki „Tupnę
nogą drapnę gracą, hola!” i t. d. Czy wy tak samo, moje ko-
chane? Nazywam się Marta mam lat 14; dwie siostry moje piszą do
„Wieczorów” pod pseudonymem Szarży i Śmietanki, ściskam was
obydwie bardzo serdecznie, wasza nieznajoma przyjaciółka Cyga-
necka z nad Wisły. Odpiszcie mi prędko!!

Kochana Bułanko! Wojowniczego usposobienia nie mam,
a nazwałam się Szarżą dla miłości ślicznej, złotej kasztanki. Lu-
bilabym śpiewać, żebyś miała głos, ale go nie mam, więc muszę
dać za wygraną. Musisz być wesołego usposobienia, kochana
Bułanko? szkoda, że „Wieczory” nie mogą przyjmować dłuższych
listów, bobym ci miała dużo do napisania. Odpisz mi prędko,
Twoja Szarża.

Kochany Rolniku Polski! Dlaczego mi nie odpisałeś? Za-
smuciło mię to, że jesteś niezdrów. Pociesz się jednak, kochany
Rolniku, to przemienie, bo i ja przez kilka lat chorowałam, wszy-
stkiego musiałem się wystrzegać, a teraz wiesz, jadłem na Wielka-
noc baby, mazurki, a nawet kiełbasę. Bądź więc, kochany Rolni-
ku, dobrej myśli! Pójdiesz do szkół, gdzie może się zobaczymy.
Całuję cię serdecznie, Strumyk.

Kochana Praco! Liścik twój sprawił mi tak wiałką radość,
że ci nawet nie potrafię opisać. Czy też kiedy się poznamy?
Mieszkam na Podlasiu, nad Bugiem. Mam czterech młodszych
braci: Strumyk i Potok pisują do Wieczorów, a dwaj są jeszcze
niepiśmienni. Mam lat 10 uczę się przy Mamie. Całuję cię ser-
decznie, kochająca cię Krynica.

Pracy, Kozaczce z Podlasia i Cyganeckce z nad Bystrzycy,
posyłam serdeczne uściśnienia. Cyganecka z nad Wisły.